Przemysław Kazimierz Chróściechowski – malakolog i poeta z Wenezueli

Mracay w Wenezueli, fot. pinterest.

Florian Śmieja

Losy polskich poetów na emigracji każą mi myśleć o wierszach Przemysława Kazimierza Chróściechowskiego, krakowianina urodzonego w 1921 r., który przez Rumunię i Francję trafił ze swoim oddziałem do internowania w Szwajcarii. Tam skończył studia agrarne. Po kilku latach w Anglii emigrował do Wenezueli. Stał się malakologiem i dał się poznać jako specjalista od słodkowodnych ślimaków. Po stażu w Caracas z całą sekcją przeniesiony został do miasta Maracay. Z początku odczuwał wyjazd na prowincję jako zsyłkę, ale po czasie powie, że już by nie wrócił do stolicy „z jej piekielnym ruchem, zatrutym powietrzem, napadami na ulicach, drożyzną…”.

Tam go odwiedziłem. Po wizycie u Beniamina Józefa Jennego w Caracas, pojechałem

z dr Eugeniuszem Gerulewiczem do Maracay. Po drodze od urwisów kupiliśmy świeżo zerwane pachnące mocno mango i dojechaliśmy do ładnego, nowego domku.

Samotnie wychowywał syna, którego urodziła mu Portorykanka, nim padła ofiarą katastrofy. Do pomocy miał kolumbijską służącą imieniem Ligia. Nie pamiętam już wiele z tych odwiedzin, poszliśmy do lasu oglądać orchidee, podziwiać wszędobylskie dydelfy i niebieskie motyle. Fascynowały mnie egzotyczne ssaki z długimi ryjkami, wąskoskrzydłe motyle, orchidee na drzewach i rumiane owoce mango.

Od dziecka czuł zamiłowanie do pisania. Pisząc namiętnie nie znalazł druha, drugiego człowieka, ani spolegliwej redakcji, którzy by wsparli jego wysiłki. Sam stał się superkrytyczny wobec twórczości, a nie przychodziła mu łatwo. Skarżył się:

> *Niezliczone wieczory spędzone nad rozpaczliwie białą kartką wzywały nieraz do porzucenia tego głupiego nałogu.*

Po nikłych sukcesach wydał w Londynie zbiór wierszy *Nietrwałe srebro snu* w Oficynie Poetów i Malarzy Bednarczyków. Na wieść o zamknięciu drukarni ironizował:

> *Może za to nieliczne ocalałe egzemplarze osiągną kiedyś bajeczną cenę na bibliofilskim rynku?*

Spytany o bieżącą twórczość odpisał, że pisze haiku i ma ich 200 bacząc bardzo na formę. Te sonety, haiku i tanka chciał wydać pod tytułem *Ślady na tropie*. Dodał, że jego pisanie cierpi na znaczne przerwy spowodowane przez zniechęcenie.

W Polsce ukazał się nieznany mi bliżej zbiór jego wierszy *Niecierpliwość dróg* w wydawnictwie Ad Oculos. Jej wydawca o wierszach pisze m.in.:

> *Utwory te są także świadectwem umiejętności warsztatowych autora: od trenu, poprzez sonet, po akrostych. Uderza też skala podejmowanych tematów, rozmaitość nastrojów: z jednej strony poezja filozoficzno-refleksyjna – z drugiej wierszowana publicystyka.*

Na list napisany w 2003 roku nie otrzymałem odpowiedzi. Już mnie wprawdzie we wcześniejszym liście ostrzegał:

> *Jeżeli chirurg mnie dorżnie, to ten list będzie miał wartość dzieła pośmiertnego.*

Od lewej: dr E. Gerulewicz, Florian Śmieja i Kazimierz Chróściechowski, fot. arch. Floriana Śmieji.

Klamki mojego domu

Romuald Mieczkowski

Kiedy zabrakło rodzinnego domu, przez kilka lat dzieciństwo przypominały drzewa z ojcowskiego sadu. Kiedy i ich zabrakło, wywieziono ciężarówkami wiele ziemi, znikło wzgórze, pamiętające ślady naszych stóp – znikły i ostatnie – prawda, coraz bardziej gorzkie – punkty odniesienia, w jakimś stopniu namacalne do obecności mojej rodziny w Fabianiszkach. Przerwana została ciągłość, o którą tak dbali przodkowie w ciągu wieków, powiększając swe posiadłości ziemskie, uszlachetniając je w drzewa owocowe, w przydrożne aleje lip, zasadzając dęby. Mój udział był niewielki, ale dość wyjątkowy – jodła, którą zasadziłem, przetrwała pozostałe drzewa i padła jako ostatnia.

Wileńszczyźnie nie pozwoliła historia pomnażać rodzinne dobra, pielęgnować pamięć. Rzadko w jakim, nawet zamożniejszym domu, spotkasz portret przodka. Pamięć o dziadach i pradziadach wyręczają w sposób niekompletny czasem stare,

pożółkłe fotografie w kredensie, ze starych rzeczy – pamiątek niewiele. Myślę i ja – co mi pozostało po Mieczkowskich, Piotrowskich – od strony matki, nie wnikając głębiej w rodzinne odgałęzienia. Też niewiele – resztki zastawy sprzed wojny – parę talerzy, kilka sztućców srebrnych, trochę szkła, zegar, jakieś drobiazgi. Najstarszy wśród nich – złoty medalik z wizerunkiem Madonny z Dzieciątkiem i napisem: *Mon Dieu le protège us toujurs. 1833 Aug. 24,* który według rodzinnej legendy przekazał ktoś z Francji w burzliwych latach popowstaniowych.

Dotykam jednak każdego dnia lat minionych dotykiem bezpośrednim. Robią to też moje dzieci, nie zdając sobie z tego sprawy. Dzięki klamkom, które w czasie zagłady domu udało się wymontować. Rolę flagowej, strategicznej klamki, strzegącej drzwi od ulicy, pełni lekko zaokrąglony kowalski wyrób z żelaza, surowy w formie, wykwintny w swej lakoniczności. Następne drzwi, mniej masywne, bardziej dekoracyjne, przypominają drzwi z dzieciństwa od frontonu – tu najpiękniejsza, mosiężna klamka, bogata w linie i ornamenty – elegancja z czasów eklektyzmu. Kolejne drzwi mają klamki podobne, jakie były najbardziej popularne w tych stronach – solidne mosiężne, o prostych formach, bez jakichkolwiek upiększeń, zachwycające swą wyniosłą prostotą. Siedem obustronnych klamek podobnych do siebie, ale każdy komplet inny, ze względu na ręczną robotę. Niektóre są lekko zaokrąglone, wszystkie znakomicie przetrwały czasy kolejnych państwowości. Klamki niczym czarodziejska maszyna sprawiają, żeś dotknął lat dwudziestych.

Przyznam, że aż tyle klamek o takiej sprawności w domu Mieczkowskich nie było. Część z nich pamięta losy innych krewnych w Fabianiszkach. Jedną z klamek, którą uznać by można za “księżniczkę” wśród pozostałych, a pochodzą z drzwi, prowadzących do salonu, nie udało się zastosować – potrzebowałaby ona masywnych, większych drzwi i mocnych sprężyn.

Tak oto, inna epoka została wpleciona do dzisiejszej codzienności. Klamki zachowują właściwą sobie dyskrecję, mają dla mnie ciepło dłoni przyjaciela, w słońcu potrafią ukazać swój urok w całej pełni, jaki zapamiętałem jako dziecko, usiłując złapać złote promienie, które tańczyły wokół nich.

Słowa ze skradzionych chwil

Florian Śmieja z żoną Zofią, córką Anią i wnukiem w domu w Mississaudze w Kanadzie, fot. arch. Z. i F. Śmiejów.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Był Pan przez wiele lat związany ze stolicą Wielkiej Brytanii i mocno osadzony w powojennym środowisku literackim tego miasta. Wielokrotnie pisał Pan o barwnej atmosferze artystycznej powojennego Londynu. Gdzie należałoby szukać przyczyny, tej ogromnej fali twórczości i wybitnych talentów w tym czasie?

Florian Śmieja:

Po zakończeniu działań wojennych, byli żołnierze mieli bardzo dużo zapału i energii, stąd ten dynamiczny rozwój idealizmu. Londyńska emigracja była pokaźna, ok. 100

tys. Polaków i wśród niej było bardzo wielu utalentowanych ludzi, wychowanych przez drugą Rzeczpospolitą, dla których często nie było powrotu do kraju. Co któryś młody człowiek w plecaku nosił pióro lub pędzel i jak nie pisał, to malował. Do Anglików trudno było przylgnąć, bo Anglia była wówczas krajem zamkniętym, z własną tradycją, robiącym trudności w asymilacji. Stąd duża potrzeba życia we własnej społeczności, spotykania się, działania i to zwykle honorowo. Wychodziły sukcesywnie czasopisma, przy niewielkich nakładach finansowych. Profesorowie wykładali za darmo i płacili za przejazd na wykłady z własnej kieszeni. Dlatego, mimo braku pieniędzy i możliwości zawodowych, ówczesna londyńska Polonia miała tyle osiągnięć. Ludzie pisali wspomnienia, pamiętniki, wiersze. Twórczość ich była terapią nie tylko dla piszących. Kultura dawała pewne możliwości upustu i stąd tyle najrozmaitszych dowodów aktywności intelektualnej, artystycznej, z której będziemy ciągle czerpać.

JSG: Takim przejawem aktywności kulturalnej z tamtego czasu, była grupa „Kontynenty", której jest Pan jednym z założycieli i pierwszym redaktorem pisma.

FŚ: Po trzyletnich studiach w Irlandii w roku 1950 przyjechałem do Londynu do pracy u dr Jerzego Pietrkiewicza. Natychmiast też wszedłem w kontakt z absolwentami i studentami usiłującymi stworzyć pismo młodych, które zaczęło się od kolumny w tygodniku, a potem miesięczniku „Życie". W 1951 roku zostałem redaktorem „Życia Akademickiego" (miesięcznego dodatku do tygodnika katolickiego „Życie"). Drukowaliśmy wtedy cztery strony, ale po jakimś czasie oddzieliliśmy się. Potem doszliśmy do wniosku, że dawanie komunikatów i pisanie o studentach nas nie zadawala. Wtedy „Życie Akademickie" przerodziło się w pismo „Merkuriusz Polski" i tam pojawiało się więcej ambitnych tekstów, felietonów, esejów, satyr. Po jakimś czasie doszło do scysji z wydawcą, władzami Zrzeszenia Absolwentów i Studentów, gdyż młodzi ludzie zaczęli zabierać głos w sprawach stanowiska politycznego wobec Polski. Mówiono, że młodzi się wyłamują, że chcą nawiązać kontakty z komunistyczną Polską, że nie stoją na straży wartości. Przyszedł taki moment, że materiały, które ukazywały się w „Merkuriuszu" po Październiku, nie spodobały się starszyźnie. Na walne zebranie przyjechał gen. Władysław Anders i podziękowano redakcji. Wtedy założyliśmy własne, od nikogo już nie zależne pismo „Kontynenty". Od początku współpracowali z nami ludzie na całym świecie, w

Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, w Izraelu. Drukowaliśmy za minimalną cenę, nikt żadnych pieniędzy nie brał, wręcz przeciwnie, składaliśmy się po funcie na miesiąc, żeby zapłacić Bednarczykom za druk. I tak z biuletynu związkowego „Kontynenty" stały się z czasem pismem kulturalnym o ambicjach poetyckich. Współpracownicy zaczęli wydawać debiuty poetyckie i wyszły dwie antologie, jedna na Emigracji, a druga w Polsce. Aczkolwiek „Kontynnety" przestały wychodzić w 1966 roku, przetrwała ich legenda i znalazła oddźwięk na polskich uniwersytetach.

Teraz o „Kontynentach" dużo się mówi w Polsce, a na kilku uniwersytetach studiuje się tę grupę. Ukazało się już drukiem kilka doktoratów na ten temat w Toruniu, Katowicach, Lublinie, Rzeszowie.

JSG: Jednym ze współtworzących „Kontynenty" był m.in. ksiądz profesor Janusz Ihnatowicz, laureat nagrody literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

FŚ: Cieszę się, że On i Jego mądre wiersze zostały w końcu dostrzeżone, gdyż wczesny wyjazd do Ameryki oddalił Go nieco od Londynu, głównego ośrodka emigracyjnych przetargów literackich. Dobrze też się stało, że zdążono uhonorować ogromnie pracowitego i zasłużonego dla teatru polskiego Bolesława Taborskiego (1927-2010).

JSG: Jak to się stało, że po 25 latach pobytu na Wyspach Brytyjskich przeniósł się Pan też do Londynu nad Tamizą, tylko że w Ontario?

FŚ: W moim życiu doświadczyłem wielu przypadkowości losu, jedną z nich była przeprowadzka z Wielkiej Brytanii do Kanady. Nie była to translacja ani zamierzona, ani nawet wyśniona. Jeden z moich kolegów z London School of Economics po stażu w Kanadzie, doniósł mi, że uniwersytet, który go zatrudnił był zainteresowany zaangażowaniem profesora języka hiszpańskiego, który miał doktorat Uniwersytetu Londyńskiego. Napisałem do kierownika katedry i dostałem zaproszenie na rok w charakterze wizytującego profesora nadzwyczajnego w roku 1969.

Niewiele wiedziałem o miejscu i uczelni do których się wybierałem. Po przyjeździe okazało się, że trafiłem do ślicznego miasta i renomowanej uczelni. Respektowano

tam wiele angielskich tradycji znanych mi z Anglii. Po paru miesiącach zaproponowano mi stałą pracę, którą wykonywałem przez 22 lata do przejścia na emeryturę w 1991 roku.

JSG: Czym różniło się środowisko polonijne na Wyspach po wojnie od środowiska polonijnego w Kanadzie w latach późniejszych.

FŚ: Sądzę, że porównujemy tu sytuacje diametralnie różne. W przeciwieństwie do powojennego „polskiego" Londynu, w którym obserwowało się wysyp twórców, a jakość takich pism jak chociażby miesięcznik „Kultura" po dziś dzień nie została w Polsce osiągnięta, w prowincjonalnej Kanadzie skupisko polonijne, integrujące nowych imigrantów, z trudem próbowało w mało znanym środowisku znaleźć się gospodarczo, zakładało staroświeckie parafie i kontentowało się najprostszymi daniami kulturalnymi.

JSG: Ale po przyjeździe do Ontario, również rozpoczął Pan działalność kulturalną.

FŚ: W Kanadzie już w 1972 roku pomogłem założyć Polski Klub Dyskusyjny, który w prywatnym domu organizował spotkania i kulturalne oferty (mieliśmy m.in. wizyty Stefana Kisielewskiego, Jerzego Turowicza, Jerzego Pietrkiewicza). W lokalnej stacji telewizyjnej emitowałem 150 półgodzinnych programów telewizyjnych „Mosaic London", w lokalnej bibliotece czytałem poezję po polsku i po angielsku.

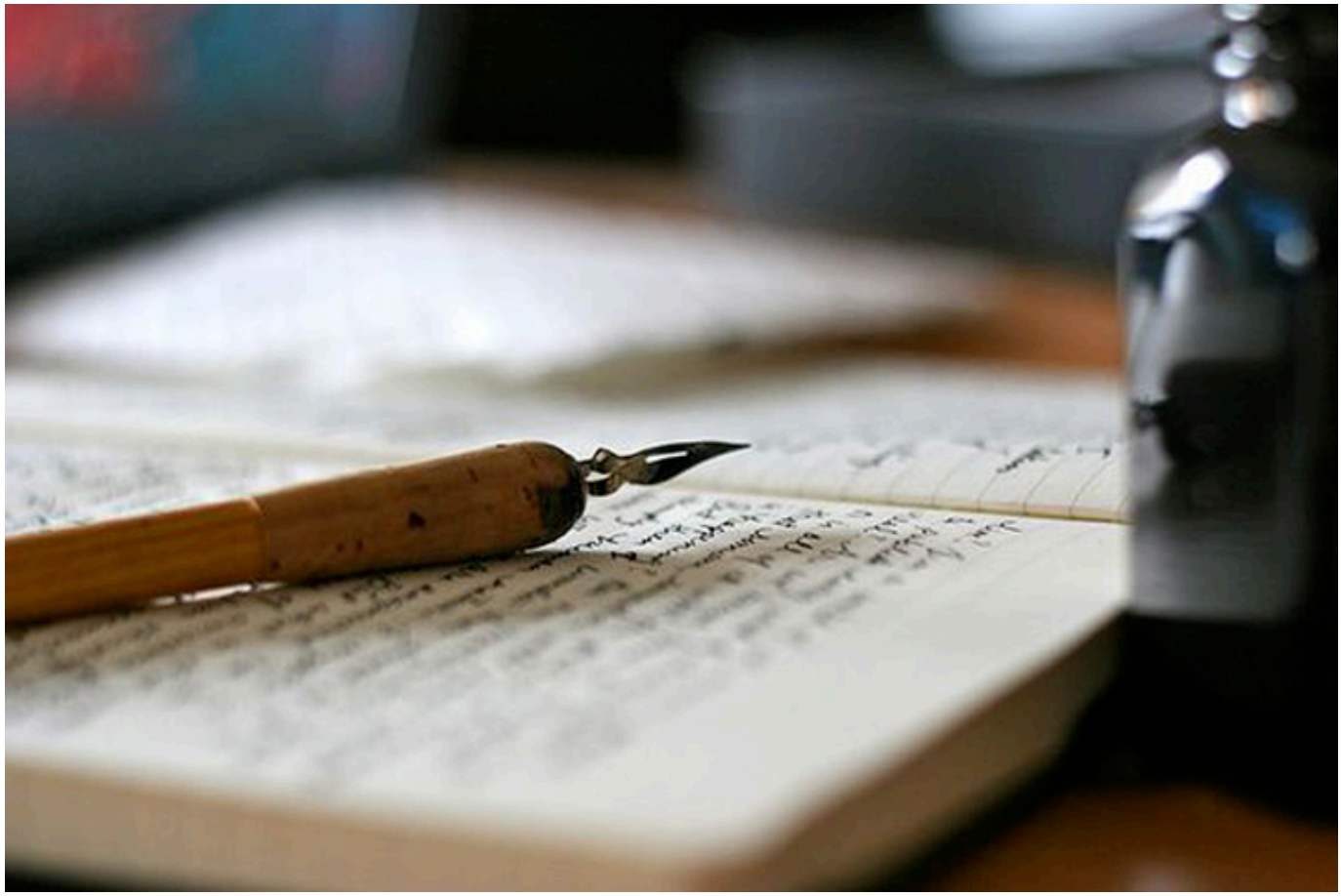

JSG: Po przejściu na akademicką emeryturę, przyjeżdżał Pan wiele razy do Polski, by uczyć literatury hiszpańskiej młodych Polaków. Mówił Pan kiedyś, że traktuje tę pracę, jak spłacanie długu wobec ojczyzny. Jaki dług miał Pan na myśli?

FŚ: Na obczyźnie zdobyłem kwalifikacje i praktykę pedagogiczną. Wykładałem Anglikom i Kanadyjczykom przez ponad czterdzieści lat. Zapragnąłem się podzielić wiedzą także z Polakami i dlatego poczułem, że lata po przejściu na emeryturę, które spędzam w Polsce, są dla mnie niespodziewanym dobrodziejstwem darowanym przez los. Udało mi się zetknąć z setkami studentów nie tylko w Krakowie, Wrocławiu, Opolu i Częstochowie, ale także w Ostravie i Wilnie. Jestem po dziś dzień w kontakcie z niektórymi, jedną z byłych studentek z Wrocławia, odwiedziłem w Phoenix w Arizonie, a kariery innych śledzę, z niektórymi komputerowo współpracuję.

JSG: Jaką radę mógłby Pan dać, tym wszystkim młodym ludziom, którzy pragną tworzyć?

FŚ: Jeżeli człowiek nosi w sobie istotne przesłanie, które chce wypowiedzieć i to w sposób niebanalny, pierwszą satysfakcję będzie miał, jeśli mu się to uda. To już jest osiągnięcie, bez względu na to, czy spotka się z przyjęciem czy nie. Ważne jest, żeby być sobą, żeby nie być epigonem niczyjej myśli, nie iść w ślady innych ludzi, podszywać się pod nich, nie bać się jasności. Odpowiedzialność za naszą twórczość gwarantuje jej autentyzm. Nie należy przejmować się modą. Bycie dekonstrukcjonistą czy postmodernistą jest czymś chwilowym i wtórnym. Sukces powinien być niespodzianką, nawet dla autora. Może on oznaczać wiele rzeczy. Także dojrzałość, względnie znalezienie własnego głosu. Młody człowiek winien najpierw poznać siebie i upewnić się, że na prawdę chce i musi pisać, bo jak się nuży i szybko odpada, to znaczy, że się tylko bawił.

JSG: Od wielu lat utrwala Pan historie związane z ludźmi twórczymi, o których powinno się pamiętać. Czym dla Pana jest bogactwo kontaktów i więzi międzyludzkich?

FŚ: Cieszyłem się zaufaniem i przyjaźnią wielu pięknych ludzi. Nie wszyscy mieli okazję, by obecność swoją zaznaczyć w ludnych i głośnych centrach. W emigracyjnym rozproszeniu ginęły nazwiska twórców, którzy zasługiwali na pamięć. Dlatego jadąc do Kalifornii szukałem Jana Kowalika i Jana Leszczę, do Wenezueli – Przemysława Chróściechowskiego, w Londynie szukałem Olgi Żeromskiej i Wojciecha Gniatczyńskiego, w Hiszpanii odnalazłem Piotra Guzego. Cieszę się też, że Jan Darowski wyszedł z cienia. Chętnie o nich piszę przeświadczony, że robię dobrą robotę. Przekonany jestem, że więzy międzyludzkie są na emigracji konieczne, by przetrwało poczucie podstawowej, podskórnej solidarności. Związek Polaków w Niemczech przed wojną ustanowił własny, szlachetny kodeks postępowania i jedno z jego praw brzmiało „Polak Polakowi bratem”. Hasło nadal do zastosowania.

JSG: Stara się Pan, aby obraz przywoływanych postaci, który wyłania się z zakamarków pamięci był jak najbardziej prawdziwy.

FŚ: Nieraz ma się takie wahania, zastanawiamy się, co to jest tzw. prawda. Czy prawdą należy szkodzić człowiekowi, czy lepiej przemilczeć pewne rzeczy. Jeżeli przemilczeć, to czy zaznaczyć, że się czegoś nie dotyka? Myślę, że tu kultura człowieka ma duże znaczenie. No i wiek. W młodym wieku człowiek wszystkich chce

atakować, myśli, że ma do tego prawo, właśnie w imię prawdy. Z wiekiem człowiek pokornieje i rozumie, że trzeba bardziej oględnie pewne sądy ferować.

JSG: Prowadząc aktywne życie zawodowe na polu nauki i kultury, a jednocześnie nie zaniedbując życia rodzinnego, jak udało się Panu znaleźć czas na własną, tak bogatą, nagradzaną twórczość literacką i translatorską?

FŚ: Twórczość jest darem. Mogło jej nie być, mogła być bardziej wybitna, bogatsza. Nie była moją główną aktywnością i nie odbywała się w próżni, ale w życiu dość dramatycznym, na obcych ziemiach, wśród różnych ludzi, w przyswojonych językach. Wybory nie były wolne, przypadkowość wymagała szczęścia. A w czasach spokojniejszych było zbyt wiele pokus, obowiązków, powinności, ciążeń, prób, ciekawości. I one tę twórczość wybierały i kształtowały, ograniczały i wzbogacały. W żadnym momencie nie było dane skupienie się na jednym, by rezultat był godny, miał wagę swoją i rangę, miał ciężar gatunkowy i klasę. Niekiedy musiała wystarczyć powierzchowność, muśnięcie, wspomnienie. Twórczość musiała się zadowolić marginesem, skradzioną chwilą, ułamkiem atencji. Brakowało fachowej krytyki, płynny był konsument, a ja unikałem doktrynerów. Starałem się stronić od wysmażania schematów konstruowanych wedle uczonych recept modnych alchemików, radowały mnie spontaniczne podszepty rodzimego pióra zdumiewające nieraz piszącego. Te nieliczne bardziej udane teksty sprawiają niespodziankę. Do takich zaliczę przekład „Platero y yo” – „Srebroń i ja” Jimeneza, „Wyrocznię podręczną” Baltasara Graciana oraz „Historię o Abindarraezie i pięknej Haryfie” anonimowego autora. No i tuzin albo dwa wierszy.

Wywiad ukazał się w „Pamiętniku Literackim” w Londynie.

Wacław Liebert – literat i ekonomista

Florian Śmieja

Urodzony 23 IV 1902 r. w Moskwie, był synem inżyniera, społecznika i organizatora szkolnictwa polskiego dla uciekinierów czasu pierwszej wojny światowej i rewolucji bolszewickiej, odznaczonego za swoje zasługi pośmiertnie krzyżem Polonia Restituta. W Moskwie spędził dzieciństwo i młode lata. Do Polski repatriował się mając lat osiemnaście. W Warszawie ukończył ekonomię na WSH. Pracował najpierw w zarządzie, a potem jako naczelny dyrektor założonej przez ojca fabryki wodomierzy i gazomierzy w Toruniu.

Kiedy Niemcy przejęli fabrykę, Liebert przeniósł się do Kielc, gdzie wraz z żoną, Wandą, należał do podziemia aż do końca wojny. W 1945 r. na wniosek robotników wrócił do swojej, upaństwowionej już, fabryki na kierownicze stanowisko, ale prześladowany przez SB uszedł z rodziną w 1947 do Szwecji, gdzie m.in. pracował

jako robotnik w fabryce tekstylnej. W 1951 r. przyjechał do Kanady, do Montrealu, a następnie do podtorontońskiego Bramalea. Do wieku emerytalnego pracował jako projektant.

Zmarł na raka, znoszonego przez lata z pogodą, 27 lipca 1993 roku. Pogrzeb odbył się w Mississaudze, ale prochy spoczęły w rodzinnym grobie w Warszawie.

W ankiecie wypełnionej niedługo przed śmiercią Liebert nazwał siebie ekonomistą i literatem. Po licznych artykułach politycznych na temat życia pod reżimem komunistycznym, drukowanych głównie w detroickim „Dzienniku Polskim", na tychże łamach zadebiutował powieścią „Piraci w bzach" oraz drukował opowiadania, których miał się stać mistrzem. Na konkursie Związku Aktorów Scen Polskich w Londynie w 1950 r. dramatem „Szkarłatna suknia" zdobył wyróżnienie. Był współpracownikiem londyńskich „Wiadomości", a pod koniec życia związał się z torontońskim tygodnikiem „Echo".

W Montrealu i Sydney grano jego sztukę „Tysiąc gorejących". Jest ponadto autorem komedii „Coca Cola". Większy rozgłos przyniósł mu dopiero tom wspomnień z Rosji „Wrony nad Moskwą", wydany w 1974 r. przez londyński Polski Fundusz Kulturalny. Znajdziemy w nim plastyczne przedstawienie losów Polaków na tle ginącej Rosji carskiej i rodzącego się komunizmu. Z kolei napisał powieść „Ewidencja W.16" (Londyn 1981). Jest to rzecz o Chorwacie, nazwiskiem Hans Wittek, który stał na usługach gestapo i dał się we znaki polskim patriotom na Kielecczyźnie. Fragmenty karty ewidencyjnej protagonisty poprzedzają poszczególne rozdziały książki, które te dane rozszerzają i uzupełniają przytaczając dodatkową ewidencję wzbogaconą intuicją i fantazją autora respektującego ściśle wydarzenia okupacyjne z zachowaniem autentycznych nazwisk i sylwetek gestapowców, ich konfidentów oraz pseudonimów członków podziemia. Książka posiada sensacyjną fabułę, co sprawiło, że przedrukowana w Polsce przez wydawnictwo Volumen stała się bestsellerem.

Tom opowiadań „O miłości i tak dalej" (1982) został wyróżniony przez Ontario Arts Council. Wacław Iwaniuk z tej okazji nazwał autora „narratorem z Bożej łaski" podnosząc rozległość tematyki, jakość techniki pisarskiej oraz artystyczne osiągnięcia. Wyróżnił on szczególnie opowiadania z terenu Kanady jak „Bretnal" oraz „Złote runo", świetnie podpatrzone przejawy kompleksu roszczeniowego

rodaków przyjeżdżających z PRL-u. Jego bohater, Duduś, jest przykładem człowieka zdemoralizowanego przez system komunistyczny, którego nie zmieni fakt przeniesienia się w inne miejsce. Liebert nazwał takich osobników „mormonami", czyli łapigroszami, od angielskiego *more money.*

Tom lekkiej, dowcipnej prozy zatytułowany „Byłe i niebyłe", wydany nakładem tygodnika „Echo" (1990), cechuje również rozpiętość tematyczna: od obrazu ostatnich dni Stanisława Augusta w Grodnie, po historię przyjezdnej Polki wydającej się za majętnego emigranta, aby uśmiercić go poszatkowanymi włosami z własnego warkocza dodawanymi do jedzenia. Liebert pisał do końca życia meldując pracę nad sztuką (humorystycznym opowiadaniem) „Ogród szczęśliwości". Zdołał ją ukończyć, mimo że praca szła mu opornie. Skarżył się na wzrok, a także na

> *świadomość idealnej obojętności naszego społeczeństwa na wszystko, co nie jest produktem ich subkultury. A ta wydaje mi się obca i niezrozumiała. Czasem podejrzewam, że w ogóle jej braknie.*

Rodzina była jego mocnym atutem. W żonie miał znakomitą towarzyszkę przygody literackiej, bo ona była jego najbliższą współpracowniczką, czytelniczką i korektorką.

Liebert, ekonomista, był przykładem profesjonalisty, który na innym polu, w tym wypadku literatury, ma równie solidne osiągnięcia. Jego sztuki, powieści i opowiadania ukazują inwencję, łatwość operowania wymyślnymi wątkami, bogaty kalejdoskop kobiecych postaci, humor i doskonały język. Był urodzonym karykaturzystą. Wyznał kiedyś, że patrząc na ludzi przerysowuje ich „podkreślając śmieszności, ułomności czy głupotę, niezależnie z jakiej pochodzą sfery czy klasy społecznej". Tematyką swoją (nie licząc wycieczek w epokę jaskiniową czy czasy starożytnej Grecji) objął, posługując się wspomnieniami, obserwacją, a nawet pilnymi studiami obok śmiałych wzlotów fantazji, szmat ziemi na dwu kontynentach, od rewolucyjnej Rosji, okupowanej Polski, krajów europejskich po Kanadę. Dał świadectwo nie tylko temu, co zaszło dawno i wczoraj, ale co się dzieje dzisiaj, rejestrując zmieniające się stosunki i style życia na emigracji na styku emigracji wojennej i nowej, ekonomicznej.

Jak większość pisarzy emigracyjnych, niedoceniony i nieznany, znalazł przecież

czytelnika i krytyka w Polsce, gdzie zainteresowano się jego teatrem, a oprócz „Wron nad Moskwą” na półkach księgarskich znalazła się „Ewidencja W.16”. Wiadomości te radowały autora. Nie doczekał się wprawdzie wydania tam swoich opowiadań, ale pewien jestem, że to nastąpi w przyszłości. Liebert czas swój na obczyźnie rzetelnie okupił.

Powroty Jana Darowskiego

Londyn. Widok na pałac Westminster.

Irena Wyczółkowska

Sympatyczna niespodzianka: gruba koperta, a w niej książka: *Powroty. Wybór*

wierszy Jana Darowskiego, opublikowana w Raciborzu w 2008 r. przez wydawnictwo Raciborskie Media. Do książki dołączono pismo „Brzeski Parafianin", które ukazuje się przy Parafii Rzymsko-Katolickiej św. Apostołów Mateusza i Macieja w Brzeziu nad Odrą – ofiarowany mi numer ma charakter okolicznościowy, jest bowiem w całości poświęcony pamięci poety, eseisty i tłumacza Jana Darowskiego, który urodził się w Brzeziu i tam również, zgodnie ze swoją ostatnią wolą, został pochowany.

Pismo zawiera listy Darowskiego, wspomnienia o nim, słowa mówiące o jego dorobku jako autora świetnych przekładów literatury polskiej na język angielski, m.in. Miłosza, Herberta, Różewicza, Białoszewskiego, oraz dokonaniach poetyckich, wierszach pełnych goryczy – tych śmiałych i bezkompromisowych wypowiedziach o polskiej historii, o moralnych dylematach życia na obczyźnie. Najciekawszy w piśmie jest artykuł profesora Floriana Śmieji z Kanady, który przyjaźnił się z Darowskim od wielu lat, łączyły ich wspólne zainteresowania, praca w redakcji słynnych już dzisiaj pism polskiej emigracji „Merkuriusz" i „Kontynenty", gdzie, jak wspomina profesor Śmieja:

> *[Darowski] wniósł świeże, odważne spojrzenie, niebanalną myśl, wiele serca oraz gruntowną znajomość warsztatu drukarskiego.*

Profesor Śmieja napisał także wstęp, który opatruje pośmiertny wybór poezji Darowskiego. Treść i artykułu, i wstępu będzie nader istotna dla wszystkich, którzy cenią sobie lekturę uważną, wnikliwe poznawanie intencji poety, tajników jego artystycznego myślenia. Oba teksty nader plastycznie ukazują sytuację poety emigracyjnego, tu słowa Floriana Śmieji:

> *twórcy bez czytelnika, tworzącego w obcym kraju, wśród nieswojego społeczeństwa.*

Autor wstępu przytacza melancholijne stwierdzenie poety:

> *Jeśli sam akt twórczy całkowicie nie spełnia i nie jest sam w sobie najlepszą nagrodą, wtedy gra nie warta świeczki.*

Z tekstów towarzyszących wyborowi wierszy wyłania się sylwetka poety nie dość, że niebywale skromnego, to jeszcze o zaniżonym poczuciu własnej wartości, kogoś, który nader pesymistycznie postrzega pozycję poezji w racjonalnym i dalekim od uduchowienia świecie współczesnym.

Irena Wyczółkowska i Florian Śmieja w Wilnie.

Chciałabym jeszcze dodać, że we wspomnianym piśmie parafialnym znajdują się także fragmenty prac maturalnych i dyplomowych omawiających poetycki dorobek Darowskiego. Jak to dobrze, że i na nie zwróciłam uwagę – wbrew często słyszanym biadoleniom, mądrzy są ci młodzi ludzie, wiele widzą i rozumieją, choć, wtrącę kąśliwie, nie zawsze piszą najsprawniej. Godne pochwały wydały mi się refleksje dziewczyny, która w obrazach przedstawianych przez Darowskiego dostrzega podobieństwo do wizerunku emigracji w epilogu do *Pana Tadeusza*. Bywają to wiersze, jak choćby głośny *Luksus*, wręcz okrutne, pisane z bólem. Oto ów wiersz, przyznacie Państwo, niezwykle przejmujący:

Co nas trzyma tutaj

wśród tych zręcznych kupców

sto tęsknot od domu

na bazarze wszystkiego pod słońcem

nic prócz krwi tu nie mogących sprzedać

nic prócz smutku kupić?

Luksus – wiadomo

Luksus patrzenia na rzeczy

luksus czasem dotykania rzeczy

i luksus mówienia

że są tym czym są

A nie tym co mówią

Oczy pełne strachu

lub doradza że lepiej by były

życiowy kompromis

Luksus ciężko zarobiony

krociem kalectw zapłacony

i droższy niż życie

Zwolennicy kunsztownej zabawy poetyckiej, nowych przestrzeni stwarzanych przez

wyobraźnię, finezji i elegancji na pewno nie staną się miłośnikami twórczości Darowskiego, być może wyda się im nawet jedynie moralizującą publicystyką. Ale to pisarstwo odwołuje się do nurtu, który w naszej literaturze miał swoje szlachetne tradycje, do epok, które wierzyły jeszcze w estetyczną kategorię wzniosłości, w misję poety – wrażliwego świadka i krytyka swoich czasów.

Hece z Lecem (1909-1966)

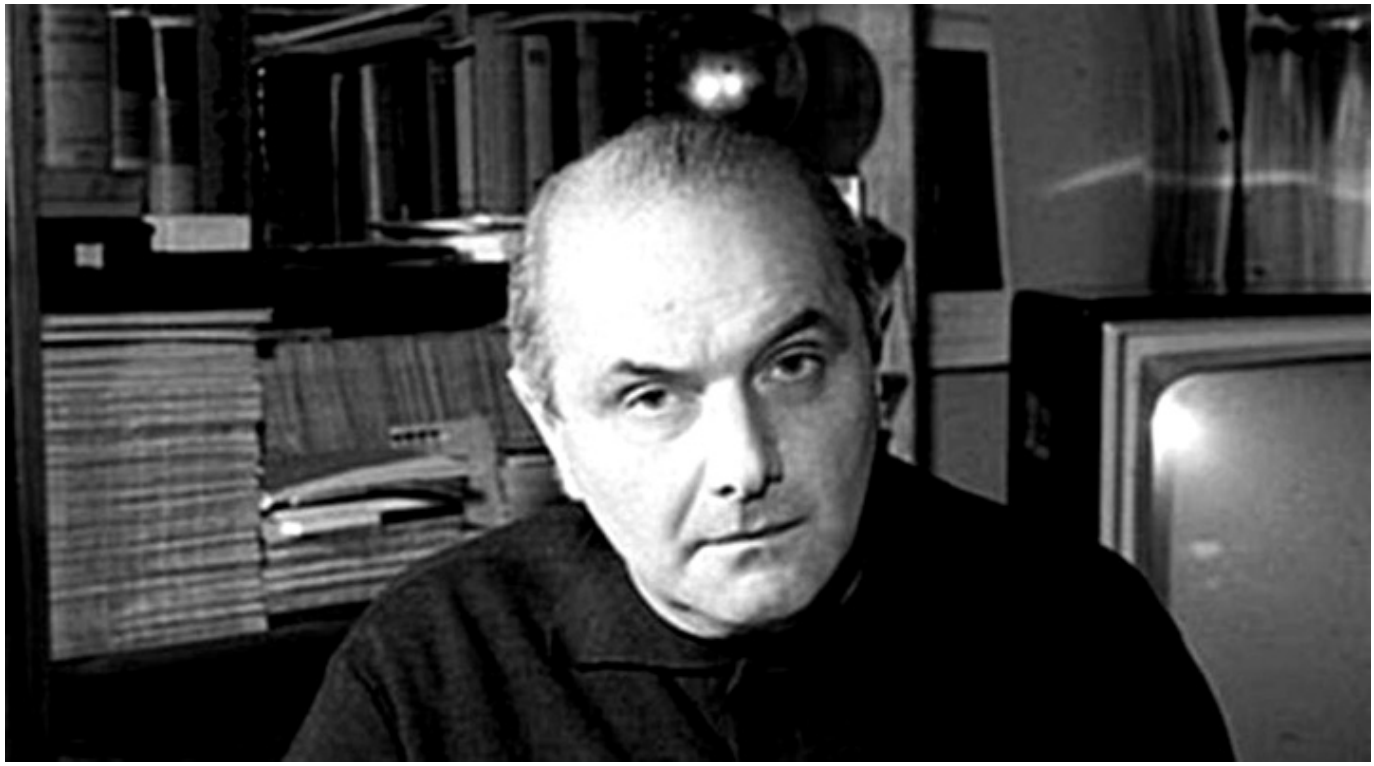

Stanisław Jerzy Lec

Florian Śmieja

W Maladze w 1975 roku poznałem lekarkę z Warszawy. Konwersacja zeszła na wspólnych znajomych. Wspomniałem Leca i to, że po raz ostatni rozmawiałem z nim w 1966 roku. Telefonowałem wtedy do szpitala. „To do mnie pan telefonował. Lec leżał u mnie”, stwierdziła.

Miesięcznik „Kontynenty”, który redagowałem w Anglii zorganizował Lecowi w Londynie w 1963 roku wieczór autorski w sali Instytutu im. Gen. Wł. Sikorskiego. Publiczność dopisała. Pamiętam jak następnego dnia wędrowaliśmy razem po mieście, aby między innymi, kupić wygodne zamszowe buty. Parę lat później w Zakopanem wyjechawszy na Gubałówkę, niespodziewanie natknąłem się na odpoczywającego na trawie poetę. Opowiedział mi wtedy zabawną historię, jaka mu się zdarzyła. Kiedyś do jego stolika przysiadł się nieznany osobnik z poufałym odezwaniem: „My się znamy”. Kiedy Lec odpowiedział przeczącym ruchem głowy, nieznajomy wyjaśnił „Pracujemy od lat razem. Jestem pańskim cenzorem”. Ponoć po śmierci Leca pod jego poduszką znaleziono karteczkę z sentencją: „A to heca, nie ma Leca”.

„Myśli nieuczesane” ugruntowały pozycję Leca u czytelnika polskiego i rozniosły jego imię po całym świecie. Posypały się przekłady na ponad tuzin języków. W Niemczech jego aforyzmy zrobiły zawrotną karierę. Karl Dedecius, który je znakomicie przełożył, nie znalazł w Warszawie wiary, gdy mówił, że rozeszło się pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Dziś ta cyfra wygląda wprost niewiarygodnie: 40 wydań i 500 tysięcy.

„Myśli nieuczesane” tak zwana mała forma, to aforyzmy wzięte z życia, z sytuacji polskiej i z literatury. Umysł Leca, subtelny i wrażliwy na odcienie językowych możliwości, pozostawił nam tysiące „myśli” uskrzydlonych, skrzących się dowcipem, błyskających erudycją, frapujących paradoksami, bawiących skojarzeniami, a smagających tchórzy, hipokrytów i głupców. Do pasji musiał nieraz doprowadzać ludzi o ograniczonym poczuciu humoru waląc na odlew prawdami oczywistymi dla każdego, a których nie dało się żadnym paragrafem utrącić. Dla zwolenników ostrej cenzury, Lec był autorem bardzo niewygodnym. Tacy bowiem chcą artystę ubezwłasnowolnić, ograniczyć do roli muzykanta brząkającego na zamówienie. Ma on bawić i omamiać, lecz nie, broń Boże, niepokoić i zdzierać maski z durniów!

Politykom nadużywającym cierpliwości ludzkiej rzekł, że „Ci, którzy mają ideę w gębie, mają ją zazwyczaj i w pobliskim nosie” oraz, że „Czasem sztywna postawa jest wynikiem paraliżu”. Łaknącym poklasku odburknął: „Nie dziw się, że kto nie pachnie, lubi, by mu kadzono”. Donosicielom szczególnie często dostawało się od Leca: „Najlepiej podstawiają nogi karły, to ich strefa”.

Zauważyliśmy już na wstępie, że aforyzmy Leca powstawały z refleksji nad życiem, z jego absurdami i ironią, z zadumy nad człowiekiem i jego sytuacją w świecie i u innych. W naszej emigracyjnej sytuacji nie bez znaczenia były takie powiedzenia jak: „Kto nie chce być zaszufladkowany, niech gotuje swoją trumnę”. A wskazanie: „Gdyby niejeden wypuścił ster z ręki, mógłby się puknąć w czoło”, zdaje się być stworzone dla dożywotnich prezesów pod każdą szerokością geograficzną. U nas tym bardziej nie straciła na wadze bystra obserwacja: „I wygasłe kratery jeszcze zieją. Zawiścią”. Albo i takie spostrzeżenie: „Nie każdy pasterz pędzi swe owieczki, by się pasły na wyżynach ducha”. Nie trudno też zgadnąć, że poeta pił do różnych naszych Baranowic mówiąc: „Prowincja umysłowa – usiłowanie myślenia z dala od mózgu”.

Nie wiedząc nic o wydanym w Argentynie po hiszpańsku tomie „Myśli nieuczesanych”, dokonałem własnego wyboru i przekładu. Kolumnę pt. „Polonesa no brillante” wydrukowałem w miesięczniku „Estafeta Literaria” (Madryt, 2.7.1966) a tomik zatytułowany „Pensamientos desmelenados” nakładem Universidad Autónoma de México ukazał się w roku 1985. Czerpały z niego następnie pisma meksykańskie i kolumbijskie.

I tak Lec, który miał ambicję być poetą lirycznym (skarżył się, gdy liryki, które mi dał do druku umieściłem na ostatniej stronie naszego pisma), a był satyrykiem w czasach mało sprzyjających krytycznemu spojrzeniu, pod koniec życia uznany został przez świat za niezrównanego mistrza małej formy, za znakomitego twórcę aforyzmów, które weszły do skarbca literatury i choć gorzka kropla piołunu zawarta jest w niejednym, na długo pozostaną wśród ważnych porzekadeł, bo nic nie wskazuje na to, by ludzie i świat mieli się wnet drastycznie zmienić.

Boże Narodzenie w Janaszowie

(1939)

Janusz A. Ihnatowicz

Przyjazd

Gdy się na Boże Narodzenie przyjeżdża na wieś, powinien być lekki mróz drżący piórkami szronu w słonecznym powietrzu i biały wiejski śnieg. I powinno się jechać od kolei sanną dzwoniącą, rozświergotaną płozami, trzaskającą jak lód na stawie, gwiazdkową sanną.

A tu stacyjka tonie w mgłach i mżawce. Pociąg czarny i zachmurzony wlókł się przez opłotki przedmieść, które jesień utrapiona wciąż pokrywa liszajami pleśni i nadgniłych kapuścianych liści; przez pola, co rozłożyły się sine i nieskończone w pomroce szarugi jak zniechęcone sny. Też bez końca. I zatrzymał się postękując nos w nos z betonowym wiaduktem szosy. Dym przytłoczony deszczem opiera się na semaforze zamykającym stacyjkę na klucz. A zresztą jest zmierzch.

Przed dworcem toniemy w błocie ziemi, sieczki i końskiego nawozu. I nie ma wymarzonych sanek lekkich jak puch, nie ma nawet karety, tego pudła tajemniczych

wspaniałości w ciemnym wnętrzu pachnącego skorą i pluszem. Jest tylko furman, cztery folwarczne konie i ciężki wóz.

– Roztop taki, powiada, ze niczym innym nie przejedzie.

Tak się rozwiewa sen o przyjeździe w grząskich koleinach przed-dworcowego bagna.

Wóz wypełniony jest sianem: egzotyczna wiejska woń. Owinięty w szuby i kożuchy od słoty i wilgoci zapadasz się w elastyczną poduszkę, w szeleszczący stóg. Gdy się tak ciężko wspinamy ku wysokościom nasypu szosy, nasz pociąg pisnąwszy gniewliwe raz jeszcze rzuca ku nam łopatę dymu i chowa się pod most. A my już dudnimy po asfalcie przez wieś.

Wieś jest osowiała jak i ten czarny grudniowy przed-wieczór. Odchylone od szosy chałupy plecami oparte o opłotki i sady szarych szkieletów. Okna puste mrokiem jak studnia bez wody. Oślepła wieś spowita w ślepnący dzień. Przed kościołem szeroka przestrzeń napełniona czczością zmierzchu. Tylko dalej między płotami księżego ogrodu odzywa się żałośnie krowa, ołowiana trąba na ostateczny sąd.

A niebo też ołowiane. Wieś za nami. Skrzypią koła. Kopyt mokre miękkie pac pac, to poszumy jak darcie płótna po kałużach. Gołe tarniny wzdłuż drogi to tu to tam wyrastają w zmartwiałą sosnę. Wrony jakby spłoszone klekotem wozu, wzbijają się, czarne krzyżyki, w czerniejące niebo. I zapadasz się wielbłądzie kołysanie sianowego grzbietu.

Gdy się budzisz jest noc i las. Korzenie uderzające raz po raz trach trach. Potem zachrobotały tory kolejowe. Światełko i psy leśniczówki i znów milczenie mokrych sosen. Patrzysz w ciemność nieba i czarniejsze powoli sunące cienie gałęzi. Niebo się chwieje od dziur leśnego traktu jak wielkie wahanie usypiającego świata.

A potem jest dużo wrzawy w białej sieni. Senna kolacja w wielkiej jadalni, gdzie wiszą obrazy jakichś osób z wąsami i orzeł i pogoń po obu stronach drzwi do kuchni. Na stole długim jak świat, w półmroku jednej lampy o mlecznym kloszu w róże i fiołki, zsiadłe mleko i ziemniaki uwieńczone parą i kwiatami olbrzymich skwarek.

I wielkie łoże z oceaniczną pierzyną odpływające daleko, gdy wiatr śpiewać zaczyna w kominie, a za kominem świerszcz. A gdzieś, hen, na drugim końcu tego

dryfowania, czarodziejski kraj – Wigilia i podchoinkowy skarbiec radości.

Dawna pocztówka